

Aleksander Karniszyn

Dziadek Mróz nie istnieje

Aleksander Karniszyn

Dziadek Mróz nie istnieje

«Издательские решения»

Karniszyn A.

Dziadek Mróz nie istnieje / A. Karniszyn — «Издательские решения»,

ISBN 978-5-44-748053-0

Tłumaczenie na język polski wspaniałej powieści «Dziadek Mróz nie istnieje».
I bajek nie ma. Ale czasami cuda się zdarzają, i wtedy może zdarzyć się wszystko.

ISBN 978-5-44-748053-0

© Karniszyn A.
© Издательские решения

Dziadek Mróz nie istnieje

Aleksander Karniszyn

© Aleksander Karniszyn, 2016

Tłumaczenie Dorota Pacyńska

Создано в интеллектуальной издательской системе Ridero

Każdy dzień Marka zaczynał się o siódmej. Tak jak zawsze i u wszystkich. Od dzieciństwa do starości wszyscy wstawali równo o siódmej rano. A spać kładli się zawsze o dziesiątej wieczorem. Taki już był ustalony porządek dnia. Kiedy tylko kończyły się oba programy w telewizji, kulturalny i sportowy, pojawiała się prognoza pogody na jutro i rozbrzmiewał hymn. I po hymnie wszyscy się kładli. Można było zobaczyć, jak jednocześnie, pstryk-pstryk-pstryk, zaczynają niknąć w ciemnościach stojące dokoła nowe wieżowce. Dom Marka też niedługo zostanie zburzony. Według grafiku, który wisiał już pół roku obok okienka portiera, przesiedlać ich będą w tygodniu przed Nowym Rokiem.

Nie, dom był jeszcze w pełnym porządku, przytulny i ciepły, bez dwóch zdań. Ale – grafik. Nowoczesność powinna być wprowadzana ściśle według zatwierdzonego grafiku. To daje zajęcie budowlańcom i zapewnia zamówienia różnym fabrykom elementów budowlanych. Inżynierom i pracownikom biurowym też. I tym, którzy ich karmią. Wszystkim, wszystkim i we wszystkim.

Tydzień przed przeprowadzką podadzą im nowy adres. Pewnie trzeba będzie zacząć szukać nowej szkoły dla syna, bliżej mieszkania. A może i pracy dla siebie. Perspektywa zbyt długiej drogi do pracy nie wyglądała zachęcająco. Limit. A za przekroczenie limitu odbierali bonusy.

Bonusy odbierali jeszcze, jeśli ktoś pracował nie tam, gdzie go skierowano. Miejsce zatrudnienia określano w kwartalnym zarządzeniu. Oni mieli wszystkie aktualne dane na temat zapotrzebowania i możliwości w bieżącym okresie. I jeśli pracowałeś w innym miejscu niż wskazane na skierowaniu, to także mogłeś stracić bonusy.

Może więc nie będzie trzeba niczego szukać. Wszystko już zostanie postanowione urzędowo.

Mark jechał do pracy ciepłym przestronnym autobusem i myślał, że w tym miesiącu musi koniecznie zejść do szkoły syna. Inaczej doczeka się wizyty szkolnego psychologa w domu i znów będzie musiał odbyć długą, ciężką rozmowę, a w karcie obywatela postawią mu już drugie upomnienie. Rodzice byli zobowiązani interesować się dziećmi do osiągnięcia przez nie pełnoletności, to jest do dwudziestu czterech lat, tak że jeszcze i na uczelnię przyjdzie się fatygować.

W pracy cały dzień drukował otrzymane pisma i instrukcje, potem segregował je tematycznie, potem zanosił do kierownika działu, który jeszcze raz wszystko sprawdzał. Kierownik czasem przekładał ten czy tamten dokument do innej teczki, patrząc przy tym karcąco na Marka. Mark wdychał ze skrucą «moja wina», rozkładał ręce, spuszczał głowę. «No, no» – mówił kierownik działu. – «Jeśli brat twój zawini, upomnij go; i jeśli żałuje, przebac mu». I oddawał teczeki z powrotem. Potem Mark obchodził wszystkich kolegów, siedzących w wielkiej wspólnej sali, i rozdawał im dokumenty, zgodnie z zakresem obowiązków.

I tak dzień w dzień.

Nie uważał, żeby jego praca należała do tak znów lekkich i prostych. Gdyby tak było, to czy daliby mu to mieszkanie? I talony na jedzenie? I bonusy urlop?

Mark mieszkał z synem w standardowym dwupokojowym lokalu. Żona z córką żyły w takim samym mieszkaniu na drugim końcu miasta i raz w tygodniu przyjeżdżały w gości; czasami zostawały na noc. Marek też raz w tygodni jeździł do nich. Te dni zostały wcześniej zaznaczone w grafiku, i dodatkowo w komputerze.

Nie należało zapominać o tych wizytach. Po pierwsze, oznaczało to utratę bonusu, po drugie, innych terminów dla tych spotkań w rocznych grafikach i tak nie było.

Każdy pełnoletni obywatel otrzymywał swój roczny grafik trzydziestego pierwszego grudnia, po którym następował świąteczny dzień pierwszego stycznia, przeznaczony na zapoznanie się z planem, a drugiego stycznia znów zaczynało się zwyczajne, sformatowane, rozplanowane z góry na rok, życie. Oczywiście, jeśli nie trafił się dodatkowy wolny dzień.

Mark pamiętał, jak to kiedyś pierwszy stycznia wypadł w piątek i w grafiku uczciwie napisano, że do pracy można przyjść dopiero czwartego. Ale taka okazja zdarzała się rzadko.

Dzień pracy zawsze kończył się równo o piętnastej zero zero.

Mark jechał do domu krócej niż pół godziny. Po otwarciu drzwi mieszkania, już od progu, głośno mówił:

– Witaj, synu. Wróciłem!

– Witaj, tato – odpowiadał, wychodząc ze swojego pokoju, Jewgienij Markowicz, jego syn, który w tym roku skończył całe dziesięć lat.

– I co tam złego? – tradycyjnie, z chytrym uśmiechem, pytał Mark.

– Głowa bajdura zapamiętuje wszystko, co usłyszysz – odpowiadał syn. – Wszystko w porządku, dwójek brak!

Mark rozbierał się, mył ręce i siadał do sprawdzania lekcji – czterdzieści minut, według grafiku. Komentował, kazał co nieco poprawić lub powtórzyć – kolejne dwadzieścia minut.

Następnie, według planu, nadchodził czas wspólnego odrabiania pracy domowej. Tego, co do tej pory nie zostało zrobione. A jeśli zrobione zostało, plan i tak musiał być wypełniony.

I chociaż Żeńka mógł skończyć wszystko do jego powrotu, to zawsze znalazło się coś, co można było robić tak jakby razem. Syn ponownie siadał za biurkiem, a Mark rozkładał gazetę; lektura prasy też była uwzględniona w grafiku.

– Tato, a dlaczego Mróz to dziadek? – Żeńka pochylił głowę na ramię i, wysunąwszy koniuszek języka, kolorował noworoczną kartkę, pracę domową na poniedziałek.

– Nooo – przeciągle zaczął ojciec, odkładając dziennik. – No, pewnie dlatego, że jest bardzo stary. Na starych ludzi zawsze mówią dziadek.

– A czy ty też jesteś dziadek?

– A czy ja jestem taki stary?

Żeńka oderwał wzrok od obrazka, spojrzał na ojca.

– Noo... stary to nie. Sędziwy, pewnie.

Tak w ogóle to stary. W końcu ma już trzydzieści pięć lat. A trzydzieści pięć to dwa razy tyle, co Żeńka. Nawet więcej, prawie cztery, jeśli zaokrąglić. Oczywiście, że stary. Ale mówić tego nie trzeba, przykro. Stary, to przykro. Jak jakiś termin przydatności do spożycia, etykieta – stary.

– A Śnieżynka to babka?

– No co ty, Żeń? Jaka z niej babka? Śnieżynka to wnuczka Dziadka Mroza! Ona jest jeszcze całkiem mała.

Chciał powiedzieć «jak ty», ale w porę się powstrzymał. Oczywiście, że Żeńka jest jeszcze mała, ma raptem dziesięć lat z kawałkiem. Ale nazywać go tak nie wypada, będzie mu przykro. W sumie nie taki znów mały. Na futrynie zaznaczali ołówkiem, jak chłopiec rośnie. O, gdzie była pierwsza kreska, a teraz to – ho ho!

– A co to znaczy wnuczka?

– Wnuczka to córka syna albo córka córki tego dziadka.

– Córka córki, córka córki! – ucieszył się Żeńka. – Chmurka chmurki, chmurka chmurki!

– Skończyłeś już? Zostało pięć minut.

– Zaraz, jeszcze ciutek! – Chłopiec szybko odwrócił się do biurka i zaczął wykańczać obrazek jasnoniebieską akwarelką.

Równy po pięciu minutach wstali i przeszli do kuchni.

Przez godzinę wspólnie przygotowywali jedzenie. Przy współczesnej technice to czasu na te czynności aż nadto, zresztą można było też zamówić coś w «Kuchni domowej», ale grafik przewidywał właśnie godzinę, żeby dziecko przywykało do prac kuchennych i procesu gotowania. I w ogóle zalecano, żeby ojciec i syn codziennie spędzali ze sobą minimum dwie godziny.

Jadali zazwyczaj w kuchni, przy niedużym stole w rogu, słuchając wiadomości i muzyki nadawanej na «Kulturze». Ten tydzień był tygodniem Bacha.

Podczas jedzenia nie rozmawiali. Rozmowy przy posiłkach nie zalecano. Po kolacji, kiedy Mark mył naczynia, a syn wycierał stół, Żeńka nagle spytał:

– Tato, a Dziadek Mróz jest naprawdę?

– Oczywiście, że nie.

– To dlaczego go rysujemy? I tę Śnieżynkę też? Córkę córki?

– Rozumiesz, synu... – Mark zręcznie złapał talerz, próbując wyślizgnąć się z dłoni. – Uważa się, że to rozwija twoją fantazję. Bajki wszelkie, na przykład, to wymysły. A fantazja jest po prostu nieodzowna, żebyśmy mieli swoich wynalazców i uczonych, którzy dokonują ważnych odkryć.

Żeńka kiwnął ze zrozumieniem głową. Jasne, bez wynalazców i uczonych byłoby bardzo źle. Trzeba będzie, znaczy, nafantazjować jeszcze co nieco. To pożyteczne. To rozwija.

Wieczorem syn czytał, a Mark popatrywał na telewizyjne wiadomości. Potem razem oglądali stary film. Stare filmy były dobre i odpowiednie. Tam dobrzy ludzie zbierali się przeciw wrogom, walczyli, pokonywali trudności i zawsze zwyciężali.

Za kwadrans dziesiąta rozbrzmiały pierwsze takty hymnu. Rano wykonywał go wielki chór, wieczorem grano samą melodię. Mark podśpiewywał sobie poszczególne wersy i słowa: o słońcu na niebie, o jedności, i znów o błękitnym niebie, o morzach i oceanach...

– Spokojnej nocy, tato – powiedział Żeńka.

– Spokojnej nocy, synu – odpowiedział z uśmiechem Mark. – Dobrych snów.

Śnił mu się grafik, w którym było dużo świąt i wolnych dni.

A Żeńce śniły się jakieś wnuczki i babki, i Dziadki Mrozy, których w gruncie rzeczy nie było, ale fantazjować o nich, choćby we śnie, było pożyteczne.

Saszka obudziła się wcześniej. Babcia jeszcze spała za przepierzeniem, słychać było tylko zabawne lekkie pochrapywanie. We wsi leniwie poszczekiwały psy, witając zbliżający się świt.

Hau, doniosło się skądś od dyniowiska. Hau-hau, odpowiedział basem z drugiego końca wsi ogromny pies, ochraniający ptaszarnię. Saszka zaprzyjaźniła się z nim, kiedy tylko go przywieźli. Był taki wielki, że można było położyć się mu na grzbiecie, objąć za szyję, a on ani drgnął.

Poczekala, aż do tej rozmowy «nie śpij, nie śpię» włączył się ich Połkan – który oznajmił wszystkim, że on w ogóle już nie śpi, tylko pracuje, ochrania oboje i Saszkę z babcią – i zeskoczyła lekko z wysokiego łóżka. U babci wszystkie łóżka były wysokie, i jak się włączyło światło, to pod nimi wcale nie było ciemno i wcale nie strasznie.

Saszka nie bała się ciemności. Boją się ci, którzy nic nie wiedzą. «Z niewiedzy – wszystkie strachy» – tak jej mówiła babcia. A Saszka wiedziała dokładnie, kto tam w ciemności pod łóżkiem szuści i chce ją złapać za nogi i wystraszyć. Nawet specjalnie gasiła lampę i bawiła się z tym, co żyje pod łóżkiem. On łapał, ona wesoło piszczała i zadzierała wysoko nogi. I tak się razem weselili. Najważniejsze, żeby nie zapomnieć potem nakarmić domowika. On nie tylko łapać umie, jest całkiem pożyteczny, jeśli go szanować.

Saszka domowika nie widziała ni razu, tylko łapy czuła, kiedy chwycił za nogi. I jeszcze słyszała czasami jego śmieszek z ciemnego kąta. Babcia mówiła, że oni wszyscy są malutcy i mają włochate nogi. Pewnie jak hobbitów. A hobbitów nie trzeba się bać, oni są dobrzy. Profesor napisał wszystko na ich temat. Tę książkę przerabiali w szkole i Saszka potem brała udział w odgrywaniu pojedynczych

scenek. Tylko na hobbita jej wtedy nie wzięli, dlatego że jest chuda i wredna – tak powiedzieli chłopcy. Została leśnym goblinem, zielonym i zwinnym, szalała i wywijiała koziołki, i wszystkim przeszkadzała. «Wczuła się w rolę» – powiedziała nauczycielka. A nauczyciel się śmiał i stwierdził, że wszystko ściśle według «metody Stanisławskiego».

Saszka ostrożnie rozsunała zasłonki i pchnęła na zewnątrz lekkie skrzydła okienne. W otwartym oknie od razu pojawił się łeb Połkana. Pies szybko dyszał, a różowy język zwisał mu z boku. Pewnie biegał po podwórzu, wariował.

– Idź sobie – szeptala Saszka, apelując do psiej głowy. – Idź sobie, nie przeszkadzaj!

– Uf uf uf – sapał uśmiechnięty Połkan. Psy uśmiechają się szczerze, z całego serca. A koty, to nie wiadomo, co sobie myślą. Mogą śmiać się i drwić. Siedzieć sobie w wyniosłym milczeniu, nie zwracając na nikogo uwagi, albo wytrzeszczać oczy w udawanym strachu czy niezrozumieniu, choć w gruncie rzeczy wszystko doskonale rozumieją. Ale uśmiechać się, tak serio, nie mogą.

– Cicho bądź! – syknęła, odganiając psa, a potem coś wymyśliła. Mocno objęła kark Połkana i wyszeptala mu do ucha magiczne słowa:

– Na spacerek!

Połkan szarpnął się, a Saszka jak korek w butelki wyleciała na dwór, mało co nie zdzierając o parapet świeżo zagojonych kolan. Połkan, szarpiąc łańcuchem, skakał dookoła. Zaszczekałby od przepełniających go emocji, gdyby Saszka nie zawisała na nim całym ciałem i nie zacisnęła obu dłoni na psiej mordzie.

– Cicho, cicho, nie wariuj!

W czasie gdy Połkan wiercił się na wszystkie strony, popiskując i machając grubym i twardym jak pałka ogonem, Saszka odczepiła karabińczyk i trzymając za obrożę, pociągnęła psa na tyły domu. O tej porze nie warto było wychodzić z podwórza przez furtkę w bramie. Zaraz przegonią bydło, zaraz, strzelając z bata, przejdzie drogą pastuch. Już lepiej tyłem, dolinką, koło niczyjego wiśniowego sadu, na górę, gdzie stoi kamienna baba, wychłostana przez wiatry i czas, szara i toporna. Miastowi, odwiedzający wioskę, mówią na nią «scytyjska», ale Saszka dobrze wiedziała, że te baby, które spotykano na stepach, są połowieckie i nic wspólnego ze Scytami nie mają.

Niby można było wcześniej uprzedzić, poprosić babcię o pozwolenie, ale tak, bez pytania, wczesnym rankiem, przed świtaniem, to dopiero przygoda!

Minęła ogrody i ostatnie opłotki i spuściła Połkana, a ten pognął przed siebie po skrzącej od rosy trawie, pod zasłoną unoszącej się z wąwozu mgły, machając uszami i popatrując od czasu do czasu, czy pani za nim idzie. Chociaż «panią» Saszki w sumie nazwać nie można, panią była babcia, a ona kimś w rodzaju kompanki od ganiań i zabawy.

Saszka biegła za psem, plaskając bosymi stopami po chłodnym pyle dróżki. W nocy ziemia stygła, ale jak tylko wszędzie słońce i robi się jasno i ciepło, pył stanie się delikatny, przyjemny, cieplutki w dotyku.

Zdarza się gleba czarna, czarnoziemna, taka czepliwa, którą zmyć trudno. Zdarza się czerwona, od gliny i iłów, ciężka, kłująca, która maże się po najmniejszym nawet deszczyku. A tu, u nich, ziemia była najlepsza, taka szara. Miałka, miękka i lekka. Jeśli zrobić kulkę z gazety, ale pustą w środku, i do tego środka nasypać ziemi, a potem zwinąć brzegi, to wychodzi najlepszy granat świata.

Kiedyś, na historii, oglądali stary film o Czapajewie. Tam była taka scena, jak Pietia i jeszcze inni zaczęli wdzierać się na wzgórze i rzucać w białych granatami, i wtedy wszyscy wybiegli, a z dolnego rogu ekranu, w burce, z szablą w wyciągniętej ręce, wypadł Czapaj, a za nim cała jego konnica... I to było takie super, normalnie nie da się opowiedzieć!

No i właśnie, jeśli takie kulki rzucać jak najdalej, to kiedy spadają, rozrywają się prawie jak granaty w kinie. Tyle że bez dźwięku, ale huk można było zrobić głosem. Za to wybuch – prawie jak prawdziwy.

Saszka urządziła kiedyś bitwę i broniła się takim granatami, gdy prawie ją okrążyli i przyparli do wąwozu. Wrogowie podczołgiwali się, a ona rzucała swoje granaty, krzycząc: trrach! i bumml!,

i pył pokrywał zwyciężonych przeciwników. Tak w ogóle, to nieźle im się wszystkim potem dostało. I babcia gderała, bo trzeba było robić kolejne pranie. Chociaż latem prało się prawie codziennie i od razu suszyło na słońcu. Dlatego zresztą wszyscy chodzili w jasnej-przejasnej odzieży, odbarwionej prawie do białości. Także sarafany Saszki, z początku mieniące się niebieskimi i czerwonymi kwiatuskami, teraz były już prawie białe.

Wbiegła na sam czubek wzgórza i zatrzymała się, przycisnęła dłonie do piersi, by uspokoić serce i oddech. Tuż nad nią wznosiła się ogromna szara kamienna baba, z rękami skrzyżowanymi na brzuchu. Patrzyła na wschód wielkimi, okrągłymi, niewidzącymi oczami.

Saszka także zaczęła wpatrywać się w tym samym kierunku. I kiedy nad stepem pojawił się brzeżek słońca, dziewczynka ściągnęła sukienkę i z piskiem rzuciła się na mokrą od rosy wysoką trawę, by turlać się niżej i niżej po zboczu. Dotoczyła się na sam dół, aż w głowie jej się zakręciło. Nie wstała od razu, poleżała, rozrzucając ramiona i wystawiając ciało na pieszczotliwe promienie słońca, a kiedy wyszła, ruszyła na górę po ubranie. Teraz szła powoli, prawie bez szmeru i gdy wychynęła z trawy, tuż przy swojej sukience zobaczyła włochate nogi, drepczące niepewnie w miejscu.

– Aha! – zakrzyczała, i chwyciła kończyny. – Łapał wilk razy kilka!

– A to głupia. – Szarpnęły się nogi. – Normalna wariatka. A jeśli ja bym tak ciebie?

– A to nie ty polujesz na mnie spod łóżka? – szczerze zdziwiła się Saszka.

– No mówiłem, że głuptas. Przecież to domowik! A ja – dworowik! Ja jak złapię, to podrapię, ser-rio!

Saszka usiadła na sukience, starając się nie przyglądać zbyt dworowikowi – przecież nikt za bardzo nie lubi, jak się ktoś na niego gapi.

– A co ty tutaj robisz, dworowiku?

– Co robię, to robię – zawarczał. – Ciebie pilnuję. Domowik z domu wyjść nie może, więc mnie poprosił. Mało to może... O, na golasa po trawie się kulgasz...

– Ja mogę, jestem jeszcze mała. Zresztą i tak nikogo nie ma.

– Jeśli mała, to przypilnować trzeba!

Usiadł bez szmeru obok niej i razem witali poranne wesołe słońce. Saszka i dworowik. A Połkan wariował u podnóża górki, kogoś tam gonił, przed kimś tam uciekał, wesoło poszczekując i popatrując w górę, czy aby nikt nie obraża jego przyjaciółki.

Równo o wpół do dziewiątej Żeńka stał wyprężony przy swojej ławce witając nauczyciela. Dlaczego lekcje zaczynały się wpół do dziewiątej, dlaczego nie wcześniej i nie później nikt nie wiedział. Tak postanowiono strasznie dawno temu i centralny procesor nie znalazł w tej tradycji nic złego.

Do jego piątej «m» chodziło dwunastu chłopców. To bardzo wygodne. Na wychowaniu fizycznym można grać w piłkę nożną z innymi klasami – jedenastka na boisku i jeden rezerwowy. Albo w siatkówkę, jeśli rozdzielili się na dwie połowy. Piłka nożna i siatkówka były w ich szkole przedmiotami profilowymi. Uczyły pracy zespołowej, i jeszcze umiejętności koncentrowania się na tym, co wychodzi najlepiej. Dobrze wytrenowany napastnik może strzelić i sto goli, ale jeśli na jego bramce nie będzie nikogo, to w odpowiedzi wpakują mu nawet dwieście. A grupa, kolektyw zawsze może się obronić. Na dodatek w tych grach obowiązywały zasady, napisane jeszcze sto lat wcześniej. Wyuczenie się zasad i ich przestrzeganie to też niezbędna w życiu rzecz.

Wyjaśniono im to jeszcze na samym początku nauki, w pierwszej klasie, strasznie dawno. I jeszcze mówili, że iść naprzód da się tylko wspólnie, tylko kolektywem, wszyscy razem. I że kto jest sam, znaczy mniej niż zero. O zerze też opowiadali w pierwszej klasie.

A w piątej było już dużo przedmiotów, których uczyli różni nauczyciele.

Rano szkoła była pusta, chłodna i bez życia. Szare światło wpadało przez wysokie okna, i wszystko stawało się jakoś bardziej zawilgocone.

Klasy oznaczone literą «k» uczyły się na pierwszym piętrze. Na przerwach donosiły się stamtąd piski, czasem jakby deptanie, a nawet śpiew.

Chłopcy nie śpiewali. Snuli się ponuro po wysokim korytarzu, szeptali o swoich chłopackich sprawach, próbowali otworzyć zamknięte drzwi sal. Na przerwy wyganiano ich z klas, żeby się nie zasiedzieli i nawiązywali nieformalne kontakty. Jednak z tymi kontaktami to jeszcze nie za bardzo im wychodziło. Jak tu z kimś się integrować w szkole. Się nie da. I jeszcze te przeprowadzki, zmiana szkół, nowe twarze...

Na matematyce, fizyce i większości pozostałych lekcji pracowali przy terminalach osobistych. Nauczyciel od razu widział, co kto robi, i mógł ucznia poprawić, albo postawić stopień.

Stopnie były potrzebne. Sumowały się i na zakończenie roku można było otrzymać bonus. Witka, kolega z klasy, który wygrał na rejonowej olimpiadzie historycznej, latem pojechał na duży obóz dla dzieci nad morze. Wrócił opalony i zadowolony. I ten wyjazd nic a nic jego ojca nie kosztował. To był bonus osobisty Witka. Chłopakowi się nawet trochę w głowie przewróciło. Troszeczkę, póki kolektyw nie postawił go na miejsce.

Uczyć się należało jeszcze dlatego że do pracy nie brali zupełnie niewykształconych.

Ale bonus oczywiście był nie bez znaczenia.

Żeńka ciężko westchnął.

Tak czy inaczej, być małym nie jest łatwo. Trzeba się uczyć. Choć to nudne. Ale, jak im mówili, nauka to taka praca. A zapłatą za tę naukę jest ocena.

Trzeba zarabiać bonusy. Pilnować dyscypliny. Trzeba «grać zespołowo», nawet jeśli zupełnie nie przyjaźnisz się z uczniami w swojej klasie. A zresztą niedługo przeprowadzka, to jak tu się przyjaźnić?

Szkolny psycholog wyjaśniał, że przyjaźń to taka bardzo rzadka rzecz. Tak rzadka, że można mieć, powiedzmy, tylko jednego przyjaciela. I to normalne. Za to umiejętność pracy w zespole zawsze się przyda.

Psycholog wzywał każdego przynajmniej raz na kwartał. Wypełniali tam przeróżne testy, odpowiadali na chytne pytania. Można było nie odpowiadać, jeśli to było niewygodne. Psycholog nigdy nie karcił, tylko stawiał jakiś znaczek w papierach. A jak się nazbierało dużo znaczków, wzywał ojca.

Właściwie to współczesne technologie pozwalały uczyć się bezpośrednio z domu, komputer domowy to praktycznie taki drugi szkolny terminal. Jednak do szkoły chodzili wszyscy. Gdyby nikt do szkoły nie chodził, to jak wyuczyć się kolektywizmu? I co zrobić ze wszystkimi nauczycielami? I z dyrektorem, z jego pomocnikami? I szkolnym psychologiem? Nie, uczęszczanie do szkoły było całkowicie racjonalne, a nawet niezbędne.

W domu siedzieli tylko ci, którzy nie mogli uczyć się normalnie – różni nerwowi albo zwyczajnie chorzy. Odsiewano ich jeszcze w młodszych klasach. Psycholog stawiał specjalne znaczki w dokumentach, potem podliczał i na koniec roku ktoś dostawał bonus, a ktoś odchodził uczyć się w domu. I tak wyszło, że pod koniec czwartej klasy, kiedy kończyło się nauczanie początkowe, w klasach zostawało po sześciu – siedmiu uczniów. I z nich kompletowano klasy piąte.

Mówią, że wcześniej szkół po prostu dla wszystkich nie starczało, uczono się na dwie zmiany, a w klasach było po czterdziestu uczniów. I jeszcze, podobno, dziewczynki uczyły się razem z chłopcami. To jasne, że poziom nauczania był wtedy niski. Jak można uczyć się w takim tłumie, i jeszcze z dziewczynami? Ale wraz ze wzrostem dobrobytu powstało więcej szkół. Teraz starcza dla wszystkich.

Żeńka odpowiadał na pytania, wybierając po jednej prawidłowej odpowiedzi spośród kilku proponowanych. Potem wszyscy razem oglądali film o morzu i morskich zwierzętach.

Potem był obiad.

Obiad to też taka specjalna szkolna tradycja. Niech tam w domu jedzenie będzie i smaczniejsze – a właściwie dlaczego, zamyślił się na moment Żeńka, przecież produkty są takie

same? – za to stołówka w każdej szkole pozwalała na zatrudnienie jeszcze całej masy ludzi. I dlatego bezrobocie było minimalne. Mówili o tym na lekcji wychowania obywatelskiego. I taki wspólny obiad uczył porządku. Głównie przestrzegania zasad prawidłowego żywienia i kaloryczności pożywienia.

Po obiedzie była jeszcze lekcja fizyki, a potem wychowanie fizyczne. Grali w piłkę nożną z szóstą klasą, skończyło się remisem. Znaczący, każdy dostał po plusie. Po meczu zegnali się z godnością, ściskali sobie dłonie, mówili, że jak jeszcze trochę potrenują, to mogą wygrywać ze starszymi. A za to należy się bonus.

Żeńka czytał o przyszłości w powieściach fantastycznych. Tam właśnie tak opisywali szkoły. Nauczyciel – mężczyzna. I klasy całkiem nieliczne. I komputery u wszystkich na ławkach. Tylko o samych lekcjach nikt nie napisał. Nawet Strugaccy.

W szkole im wyjaśnili, że klasowo-lekcyjny system nauczania to fundament współczesnego kształcenia. Że żadne inne formy nauki dorastającego pokolenia nie udowodniły na razie swojej aktualności i racjonalności. Dlatego mieli po sześć-siedem lekcji każdego dnia. Konsekwentnie. Mniej tylko przed wakacjami.

I jeszcze była godzina wychowawcza, na której wychowawca tłumaczył, kto i za co otrzymał punkty, dawał różne rady, oceniał zachowanie i wygląd zewnętrzny.

Żeńka spytał go, tak jak wczoraj tatę, po co rysowali Dziadka Mroza, z jego tą niby wnuczką.

Wychowawca wyjaśnił, że w ten sposób są uczeni sumienności. Nie wszystkie przedmioty, które poznają w szkole, w przyszłości przydadzą im się w pracy. Bo, na przykład, historia...

– A co z historią? – Witka od razu podniósł głowę.

– A to. Historia w życiu praktycznie nikomu się nie przyda. Tylko tym, którzy zostaną nauczycielami. I biologia, tylko weterynarzom i lekarzom. I chemia, tylko inżynierom w przemyśle chemicznym. Wszyscy uczą się tego samego, to rozwija w was zdyscyplinowanie i sumienność. Rozwijają odpowiedzialność. Rozumiecie?

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.